

LATARNIK

I

Pewnego dnia w miejscowości Aspinwall, niedaleko Panamy, w nieznanach okolicznościach zaginął latarnik. Podejrzewano, że nieuważnie stanął na brzegu wysepki, na której mieściła się latarnia morska i pochłonęły go spienione fale oceanu. Należało, jak najszybciej znaleźć następcę, ponieważ szlak morski wiodący z Nowego Yorku do Panamy, był jednym z ważnych szlaków handlowych. Trasa należała do trudnych, „obfitujących w piaszczyste ławice i zasy”. Światło latarni pozwalało orientować się żeglarzom w przestrzeni morskiej.

Obowiązek znalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych rezydującego w Panamie – Izaaka Falconbridge’a. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ kandydat do tej funkcji musiał spełniać odpowiednie warunki: „musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem (...). Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, po czym przewożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce (...) nie ma nikogo.” Do zadań latarnika należało utrzymywanie porządku w latarni, w dzień rozwieszanie flag sygnalizacyjnych, wieczorem zaś zapalanie światła. Latarnik miał do przebycia około czterystu schodów wiodących z dołu na szczyt latarni. Odległość tę pokonywał kilka razy dziennie.

Amerykański konsul zdziwił się, gdy jeszcze tego samego dnia, stanął przed nim człowiek gotów przejąć wszystkie obowiązki swego poprzednika. „Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza”. Miał spaloną słońcem skórę i mlecznobiałe włosy. W jego smutnej i nieco przygnębionej twarzy świeciły niebieskie oczy. Wyglądał na Południowca, ale pochodził z Polski. Nazywał się Skawiński. W trakcie rozmowy z konsulem opowiadał o swoich doświadczeniach życiowych. Los nigdy go nie oszczędzał, przypuszczał nawet, że jest wyjątkowym pechowcem, godził się jednak ze swoją dolą. Od ponad czterdziestu lat tułał się po świecie: brał udział w powstaniu listopadowym (1830 – 1831), w latach 1833 – 1840 walczył w Hiszpanii i na Węgrzech (czas Wiosny Ludów – 1848), służył w legii francuskiej (Legia Honorowa).

Posada latarnika wydawała mu się spełnieniem marzeń. Mógłby nareszcie znaleźć spokój i stałe miejsce na ziemi, gdzie czekałby kresu swych dni. Był jeszcze silny i zdrow, kiedyś piechotą przemierzył prerię (od Kalifornii do Nowego Yorku). Sir Falconbridge zaoferował Skawińskiemu posadę latarnika, przestrzegł jednak przed konsekwencjami niewypełnienia obowiązków – w razie zaniedbań staruszek miał zostać wyrzucony z pracy.

Wieczorem, po zapaleniu wszystkich świateł, Skawiński stał na balkonie latarni. Obserwował przyrodę, nasłuchiwał szumu fal, rozmyślał. Był niezmiernie szczęśliwy. Po latach tułaczki udało mu się znaleźć swoją przystań. Sądził, że na tym niewielkim ładzie nie doścignie go już żadne nieszczęście. „Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie.”

Zawsze pracował uczciwie, „...próbował niemal wszystkich zawodów”: wydobywał złoto w Australii, diamenty w Afryce, był strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich, jego kalifornijską farmę zgubiła susza, handlował z dzikimi plemionami w Brazylii, pływał tratwą, ale ta rozbiła się na Amazonce, wówczas tułał się po lasach, codziennie narażając życie z obawy przed drapieżnikami. Swego czasu posiadał warsztat kowalski w Arkansas, ale ten zmiotł pożar. W Górach Skalistych dostał się w ręce Indian, cudem uwolnili go kanadyjscy strzelcy. Służył jako marynarz na statku oraz jako harpunnik na wielorybniku. Statki rozbiły się. „Miał fabrykę cygar w Hawanie (...)”, okradł go wspólnik, gdy leżał powalony chorobą – żółtą febrą. Ostatecznie trafił do Aspinwall. W życiu spotykał częściej dobrych ludzi niż złych, ale mniemał, że prześladuje go pech. „Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich ładach i wodach.” Pytany o to, wskazywał na Gwiazdę Polarną, symbolizującą położoną na północy Rosję carską.

Powstanie listopadowe (1830 – 1831) skierowane było przeciwko Rosji. Po jego upadku zaczęto jeszcze sprawniej realizować politykę antypolską. Nastąpił czas masowych wyjazdów z kraju, tak zwana Wielka Emigracja. Jej przyczyn należy dopatrywać się w popowstaniowych represjach stosowanych wobec Polaków (problem rusyfikacji), w tym żołnierzy, powstańców, inteligencji. Na obcych ziemiach - we Francji, w Wielkiej Brytanii, Szwajcarii tworzone ośrodki państwowości polskiej, w których mogło rozwijać się życie polityczne i kulturalne. Z natury był cierpliwy, spokojny, ale uparty. W walkach na Węgrzech kilkakrotnie dźgnięto go bagnietem, ponieważ nie chciał się dobrowolnie poddać. Identycznie postępował w życiu – nie poddawał się nieszczęściom. Miał serce dziecka - podczas epidemii na Kubie podarował chorym swój zapas chininy, przez co sam zachorował. Nigdy nie tracił nadziei, z ufnością czekał na wieści z kraju, w duchu wierzył w odzyskanie niepodległości. Cekał i tą nadzieją żył przez wiele lat, ale wiadomości o wolnej Polsce wciąż nie nadchodziły. Czas ubieliał mu włosy, zestarzał się i począł tracić energię. Z hardego żołnierza przemienił się w przewrażliwionego staruszka, gotowego płakać z byle powodu.

Stojąc na balkonie latarni dumał o swoim dziwnym i trudnym życiu, długo patrzył na ocean, nie mogąc nacieszyć się szczęściem i spokojem. Słuchał mowy morskich fal i ciszy. Z czasem nocne niebo bardziej pociemniało, dął wiatr, rozpętała się burza, a Skawiński odczuwał spokój w swojej latarnianej izdebce.

II

Czas płynął, mijały tygodnie. Staruszek przywykł do nowych obowiązków. Wstawał o poranku, z przyplływającej łodzi odbierał żywność, „ (...) czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły nigdy nasycić się obrazami, które przed sobą widział.” Na tle turkusowego nieba obserwował żagle statków handlowych i dymy parowców. Z innej części latarni rozciągał się widok na port Aspinwall, z cumującymi łodziami. Patrząc z wysoka, widział miniatury domów, ludzi przypominających małe punkciki. W czasie południowej sjsy odpoczywał i napawał się szczęściem.

Pokochał małą wysepkę, zżył się ze swoją latarnią, zaprzyjaźnił z mewami, które częstował jedzeniem. W południe, gdy była najlepsza widoczność, ogarniał wzrokiem całe międzymorze. Patrzył w stronę podzwrotnikowego lasu, gdzie rosły najróżniejsze drzewa, skakały małpy, a papugi tęczową chmurą wzbijały się w górę. Nocami, w załomach skalnych, łowił ryby. Wieża latarni stała się jego azylem. Schodził na ląd tylko w niedzielę. Ubierał wówczas strażniczą kapotę, a na piersiach zawieszał order. Wśród mieszkańców Aspinwall uchodził za Amerykanina, podziwiali go: „Porządnego mamy latarnika” – mawiali. Czasem pożyczał od konsula hiszpańską lub nowojorską gazetę i szukał wiadomości z Europy. Dławiła go tęsknota za ojczyzną. Zaczął dziczeć, zaprzestał porannych dialogów z Johnsem dowożącym mu łodzią zapasy żywności. Coraz rzadziej pokazywał się w miasteczku, bywały tygodnie, że go wcale nie widywano i zastanawiano się, czy stary żyje. O jego egzystencji świadczyły światła zapalanej latarni i znikający prowiant, który zabierał dopiero po odpłynięciu łodzi, „począł tracić poczucie własnej odrębności, przestał istnieć jakoby z osobna, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało.”, lecz pewnego dnia...

III

Jak co dzień rano łódź przywiozła żywność, ale prócz niej na brzegu leżała jeszcze jedna paczka. Zaciekawiony latarnik rozciął płótno. W środku były książki – polskie książki. Ręce zaczęły mu drżeć. Zastanawiał się, od kogo mógł być ów prezent. Potem przypomniał sobie, że swego czasu przesłał nowo powstałemu Towarzystwu polskiemu w Nowym Yorku, pewną sumę pieniędzy stanowiącą połowę jego wynagrodzenia. „Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki.” Ostrożnie podniósł jedną z nich. Były to wiersze. Skojarzył ich autora. Nazwisko należało do poety, którego dzieła już kiedyś czytał, a wieszcz stawał się coraz popularniejszy.

Wybijała piąta po południu. Wokół panowała niezmacona cisza. Skawiński drżącym ze wzruszenia głosem czytał: „Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie (...)”. Słowa więzły mu w gardle, nie mógł mówić, opadł na piach i szlochał. „Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego – przepłynęła ocean i znalazła go samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym...” Płaczem przeproszał ojczyznę, za to, że już o niej zapominał, przestawał tęsknić. Zaniepokojone mewy krążyły nad głową staruszka. Szum skrzydeł zbudził go z letargu. Ponownie wziął książkę i czytał dalej. Wspomnił rodzinne strony, przeniósł się myślami do ojczyzny, „(...) wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab.” Zobaczył siebie jako młodego ułana stojącego na warcie. W dali świeciły okna karczmy, znad łąk unosiły się opary mgły, szumiały sosny i topole. Czuł w żyłach pulsującą młodość i siłę.

Zaczynało świtać. Usłyszał nad sobą męski głos: „– Hej, stary! Wstawajcie co to wam?” Johns poinformował Skawińskiego, że nie zapalił latarni, i w okolicy rozbiła się łódź. „Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa.” Opuszczał wyspę jeszcze bardziej pochylony, postarzały. Do piersi przyciskał ukochaną książkę, w obawie, by i jej nie stracić.